TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 12. *Chicago, Ills., 17 Września, 1885 r.* Rok II.

JASKINIA POTEPIEŃCA

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Dokończenie.)

Stolnik znów ze swej strony był jakoś zaambarasowany. Ów człowiek, któremu także był winien swoje życie, któremu zawdzięczał ocalenie swej córki, a... którego chciał haniebnie powiesić — jest Zygmunt Jabłowski, syn Miecznika, dziedzic obszernych włości, szlachcic herbowy, równy jemu samemu.

I wszyscy przytomni dziwnie jakoś spoglądali na niby — cygana. Nie dziw: zmiana wielka — z cygana... magnat!...

Miecznikowa nie mogła się dosyć napieścić syna. Miecznik zaś spoglądał bokiem, a wciąż pokręcał wąsa. Wreszcie odezwał się do żony:

— Puśćże mi raz Zygmunta, niechże i ja go uściskam.

Na te słowa Zygmunt skoczył do ojca i połączyli się obaj w długim, długim uścisku. Kiedy się wreszcie puścili, wisiały krople na wąsach Miecznika, które coprędzej wylotem otarł...

— Waszeć Zygmuncie witaj i nam! — rzekł Stolnik nareszcie, podając rękę zagadnionemu; — uczyniłeś mi siła dobrego, a jam ci za to chciał złem odpłacić... Ha! taka była wola Boża!... Zapomnij i przyjmij mą rękę na zgodę.

Zygmunt stanął na chwilę jak wryty... w głowie mu zaszumiało, a komnata zdawała się tańczyć naokoło... potem drgnął na całem ciele, doskoczył, ujął rękę Stolnika i okrył ją pocałunkami.

W tej chwili dało się słyszeć od proga głębokie westchnienie. Wszystkich oczy zwróciły się mimowolnie w tę stronę... Celina stała na progu!...

Któż opisze to, co się teraz stało?

Zygmunt i Celina, jakby razem popchnięci, skoczyli do siebie i w momencie dziewica z głośnym płaczem ukryła na piersiach młodzieńca twarz swoją.

Rozczulająca to była scena. Miecznikostwo i Stolnikostwo przypatrywali się temu ze wzruszeniem, a łzy padały im jak groch.

Po chwili milczenia otarł Miecznik twarz i zbliżył się do Stolnika.

— Waszmość, panie Stolniku, — rzekł — widzisz, co się dzieje. Co Bóg cudownie złączył, my nie mamy prawa rozłączać. Zatem, jako rodzic, obieram się za swata mego syna, i proszę waszmości o pannę Celinę dla niego.

Stolnik za całą odpowiedź lewą ręką poniósł wylot kontusza do oczu, a prawą ujął prawicę Miecznika. Równocześnie Miecznikowa ze Stolnikową trzymały się w objęciach.

Skoro pierwsze rozczulenie minęło, schwyciła Miecznikowa Celinę i Zygmunta za ręce i przyprowadziła ich przed Stolnika mówiąc:

— Uklęknijcie i proście o błogosławieństwo!...

Wśród najgłębszego rozczulenia wyrzekł Stolnik:

— Tak, co Bóg złączył, tego ja rozłączać nie mam prawa. Daję wam błogosławieństwo rodzicielskie, prosząc Najwyższego, aby zlał na was obfitych łask zdroje!... Widoczna, że Bóg was dla siebie przeznaczył — dla tego spokojny jestem o waszą przyszłość, bo wiem, że w Jego jesteście opiece...

Chciał jeszcze coś dalej mówić, ale mu wzruszenie nie pozwoliło; tylko ruszał ustami, a położywszy ręce na głowie Zygmunta i Celiny, szeptał:

— Moje dzieci!... moje kochane dzieci!...

Po uśmierzeniu się pierwszego wrażenia, nastąpiła ogólna radość. Wśród niej zapomniano o Zingurze, dopiero Zygmunt opamiętał się pierwszy, a przystąpiwszy do łoża, rzekł czule:

— O! matko!... bo niech cię tak nazywam... udziel mi i ty twego błogosławieństwa. Tyś mnie wychowała, tyś mnie kochała całem sercem, tyś była najczulszą opiekunką moją w dniach goryczy i nieszczęścia: bądźże teraz uczestniczką mego szczęścia, aż do końca żywota twego!

To mówiąc ujął jej rękę, ale ta była zimna, a Zingura nic nie odpowiadała.

Zygmunt wydał okrzyk boleści, lekarz coprędzej doskoczył do staruszki, — ale niestety! dla Zingury wszystko już się skończyło, bo z jej tajemnicą uleciała zarazem i dusza.

Zingura już nie żyła.

Cześnikiewicz na widok zbliżającego się tłumu od jaskini potępieńca, przystąpił ciekawie do okna.

Któż opisze jego zdziwienie, a zarazem i wściekłość, gdy zobaczył znowu nienawistnego cygana! W pierwszym momencie chciał otworzyć okno i kulą z pistoletu go powitać, ale sam rozum podyktował mu, że głupstwo by popełnił. Postanowił więc zaczekać, aż się tłum rozejdzie, a potem będzie można spokojnie odjechać.

Takto jednakże prędko nie nastąpiło, bo wielka moc ludu zaległa cały dziedziniec; i już na dobre się zmierzchało, a jeszcze nikt z miejsca się nie ruszał.

Zniecierpliwiony dopadł dzwonka i zadzwonił. Równocześnie ze dzwonkiem powstał na dziedzińcu wrzask, w którym wyraźnie dosłyszał: „Niech żyje pan Zygmunt Jabłowski"!

W tej chwili wszedł i Marcin.

— Cóż to? — zapytał Cześnikiewicz.

— Ha! djabli wiedzą, Wpanie! — odpowiedział zapytany, — człowiekowi w głowie się przewraca.

— No! i cóż?... tobie dawno już się przewróciło w głowie!

— Iiii!.. nie tak dawno!... No! — ale powiem! — oto ów przeklęty cygan jest pono synem pana Miecznika.

— Głupiś!

— Może!

— Waryacie! gadaj jak i co?

— Ano pono pan Miecznik syna przed laty zgubił, czy mu go zbójcy ukradli, czy co, dość, że wreszcie owa... no! tam była stara baba... ta powiedziała, że go znalazła — i na tem koniec!

— Głupiś! rozumiesz?

— Może! rozumiem!

W tej chwili usłyszano przed oknami hałas, a w momencie okrzyk powtórny: „Niech żyje pan Zygmunt Jabłowski!

Cześnikiewicz i Marcin przyskoczyli do okna... Jakiż przedstawił im się widok?

Miecznik i Stolnik prowadzili na zamek

cygana pod rękę, a Miecznikowa i Stolnikowa Celinę.

Cześnikiewicz się zamyślił. Przypomniał sobie opowiadanie Miecznika i... odgadł, zrozumiał od razu.

— Ha! — rzekł do siebie, — więc... Zaprzągaj Marcinie! — dodał głośno, — ja pójdę naprzód, za bramą będę czekał.

To mówiąc, sięgnął po czapkę, a Marcin wybiegł konie zaprzągać.

W kwadrans już Cześnikiewicza nie było w Turaju. Widziano go wprawdzie, jak wychodził ze zamku, ale nikt nie myślał go zatrzymywać...

Nazajutrz po opisanych w przeszłym rozdziale wypadkach, przechodził się Zygmunt z Celiną po pokojach zamkowych. Już on nie jest owym nieśmiałym cyganem Muringo, ale szlachcicem karmazynowym polskim. Niegodna stanu jego odzież, ustąpiła strojowi magnackiemu. Żupan atłasowy biały, na tem kontusz podbity karmazynem, spięty złotolitym pasem, bóty żółte ze srebrnemi podkówkami, uwydatniały teraz tem bardziej szlachetną postawę młodzieńca. Twarz miał ogoloną, tylko wąs zawiesisty zdobił tę najszlachetniejszą część ciała ludzkiego.

Pięknie wyglądał, dla tego też Celina ilekroć nań spojrzała, zawsze oblewała się rumieńcem.

Zygmunt z ciekawością dziecięcia dopytywal się o nazwiska i znaczenie wielu przedmiotów. Dziwił się nad wspaniałością zwierciadeł, nad przepychem stołów i krzeseł. Jeszcze nigdy bowiem coś podobnego nie widział, Celina, je go przewodniczka, tłumaczyła i objaśniała mu wszystko.

Zaprowadziwszy go nareszcie do salonu, usiadła przy fortepianie i zagrała. Na odgłos tonów pełnych mocy i harmonii, zadrgały w Zygmuncie wszystkie nerwy.

Gdy Celina skończyła granie, spojrzała na niego... stał nieruchomy z wlepionemi w nię oczyma. Poznała z tego po nim, że go muzyka bardzo zajmuje; i ją ucieszyło to niezmiernie, gdyż sama była wielką lubowniczką muzyki. Chciała jeszcze coś zagrać Zygmuntowi, ale w tej chwili wszedł Miecznik ze Stolnikiem.

— A co? — wykrzyknął Miecznik, patrząc z ukontentowaniem na syna, — a co? podobny on jeszcze do cygana?

Stolnik się uśmiechnął.

— Waszeć, panie Zygmuncie, urodziłeś się doprawdy karmazynem, — rzekł Stolnik, a zwracając się do Miecznika, dodał: — dorodniejszego młodzieńca nie znaleźć w okolicy. Waszmości portret, panie Mieczniku, kubek w kubek tak samo dawniej wyglądałeś.

Miecznik, któremu to porównanie bardzo się podobało, uradowany pokręcił wąsa.

— A i panna Celina jakoś mi pokraśniała,— rzekł Miecznik. — Zapewne waćpannie bardziej się podoba Zygmunt, aniżeli cygan Muringo!

Celina na tę zaczepkę nic nie odpowiedziawszy, spuściła oczy na klawisze, uderzyła kilka akordów... ale Miecznik dojrzał, że jednak w przelocie strzeliła oczyma na Zygmunta... zapewne porównywała go z cyganem!

Niedługo zgromadzili się wszyscy, panowie jak i damy.

Miecznikowa nie mogła się dosyć ucieszyć widokiem dorodnego młodzieńca. Co chwilę przywoływała go do siebie i całowała w czoło.

Wtem wywołano Stolnika oznajmieniem, że podstarości życzy sobie z nim się widzieć.

Stolnik wyszedł. W przedpokoju stał podstarości i trzymał jakieś zawiniątko w ręku.

— Cóż to jest? — zapytał Stolnik.

— Nie wiem! — odpowiedział podstarości,— znalazłem to w jaskini potępieńca, a sądząc, że może należy do... do... Wielmożnego pana Zygmunta, przyniosłem ze sobą.

— Cóż tam w tym tłomoczku się znajduje?— zapytał znowu Stolnik.

— Jakieś szmaty, dosyć drogiej materyi i... piszczałka.

— Piszczałka? pokażno waćpan!

Podstarości rozłożył zawiniątko na stole i Stolnik przekonał się, że rzeczywiście się znajdowała w niem piszczałka. Szmaty były podobne do rękawków dziecinnych.

Stolnik zaraz się domyślał, że to może szczątki z tej odzieży Zygmunta, w której go cyganka znalazła. Zabrał więc zawiniątko i zaniósł Miecznikowej.

— Znasz pani dobrodziejko te rzeczy? — zapytał.

Miecznikowa zadziwiona tem pytaniem, wzięła w rękę zawiniątko i przypatrywała się pilnie; nareszcie z nieopisaną radością zawołała:

— O! znam, znam! to są szczątki odzienia Zygmunta. Owego pamiętnego dnia miał na sobie sukienkę z rękawkami, przy których były mankietki przerabiane złotem. To są te same. Ja je sama wyszywałam... oto tu jeszcze litery moją ręką wyszyte: Z. J.

To mówiąc podała rękawki Stolnikowej, a ta obejrzawszy podała je dalej.

— Ale czemu stara cyganka nie zarzuciła ich, albo czemuż nie wypruła złota? — rzekła Stolnikowa.

Na to odezwał się Zygmunt:

— Pamiętam, że mi Zingura często pokazywała te rzeczy, i mawiała, że ja dawniej w takim ubiorze chodziłem. Poczciwa stara powtarzała mi często, że po śmierci nic mi więcej nie pozostawi, jak tylko to, co nosi na piersiach i te rękawki. Otóż dotrzymała słowa... a nie myślałem nigdy, że spadek po niej jest tak wielkim!..

Po tych słowach skrzyżował Zygmunt ręce na piersi i mocno się zamyślił.

Stolnik tymczasem wydobył z pod kontusza piszczałkę i podał ją Zygmuntowi.

— A to, — rzekł, — to pewnie Waści własność, bo cyganka przecież na tem nie grała, — dodał z uśmiechem.

Zygmunt chciwie pochwycił za instrument.

— O! tak, — zawołał, — to moja własność, to mój przyjaciel i najlepszy powiernik. Tym instrumentem nieraz płakało i śmiało się serce moje.

To mówiąc oparł się na stole, przyłożył piszczałkę do ust i zaczął grać. Z początku wydobywał jakieś nizkie, dzikie tony; przelatywał z jednej melodyi w drugą, a coraz bardziej ponuro, coraz bardziej tajemniczo. W środku zmienił akord, wszedł w wyższe tony i przegrywał szybko, zmieniając co chwilę charakter pieśni, raz dziko wrzaskliwie, to znów ponuro spokojnie — aż naraz zapłynęła z instrumentu melodya rzewna, tkliwa, niby nadzieja, niby prośba przepełnionego serca. Niedługo to jednak trwało. Zmienił nagle akord, pogmatwanemi tony, rozdarł uszy słuchającym i umilkł. Pauza... on nie gra, tylko Celina wtorująca kilku akordami jęczy na fortepianie... Zygmunt znowu zaczyna... Ten sam wrzaskliwy akord, ale pieśń już melodyjniejsza, jakieś urywane kawałki, niby oczekiwania — aż naraz zadął całą piersią melodyę rzewną, płynną, niby nadzieję stałego szczęścia, lub hymn dziękczynienia za zwrot losu.

Celina krok w krok postępowała za fletem na fortepianie. Te same uczucia, które przebijały się w pieśni Zygmunta, i fortepian pod jej palcami odpowiadał — aż wreszcie w końcu zabrzmiał jej instrument niby cała orkiestra.

Zymunt opuścił flet, a Celina podniosła palce... tylko fortepian jeszcze dźwięczał, tylko melodya fletu brzmiała jeszcze w uszach słuchaczy.

Panie miały łzy w oczach, a panowie niemo spoglądali na siebie.

Wreszcie Stolnik odezwał się pierwszy.

— Jak widzę, Waszeć panie Zygmuncie, jesteś mistrzem na twoim instrumencie. Jeśli się nie mylę, to nam wygrałeś historyę twego życia. Rozumiałem bardzo dobrze twój krzyk rozpaczy, gdym nieludzkiem mojem postępowaniem spowodował cię do samobójstwa — rozumiem też i ostatnią strofę. Tak! teraz nie potrzebujesz mieć obawy o twoją przyszłość.

— Zdaje się, że i panna Celina odgadła muzykę Zygmunta, — dodał Miecznik.

Celina nic na to nie odpowiedziała, tylko powstała, zbliżyła się do matki i ukryła swoją twarz na jej piersiach. Stolnikowa przycisnęła ją do siebie.

— Czegóż płaczesz? — zapytała.

Nie dostała wprawdzie odpowiedzi, ale też jej nie było potrzeba, bo dobrze wiedziała o przyczynie. Nie były to łzy gorzkie, owszem! to były łzy radością przepełnionego serca.

— Na cóż się tu rozczulać? — rzekł Miecznik, — nie widzę przyczyny. Co się stało, stało się, a że wszystko na dobre wyszło, więc podziękować Bogu.

— O! jest i za co dziękować Bogu! — odpowiedział Stolnik. — Zagmatwane stosunki nasze rozwiązały się dziwnym trafem ku wspólnemu naszemu dobru.

Miecznik kiwnął na te słowa kilka razy głową na znak, że jest tego samego zdania. Potem zwróciwszy się do Zygmunta rzekł:

Waszeć Zygmuncie winieneś nam jeszcze dokończyć twojej historyi, znamy ją tylko do tego czasu, jak z twoją opiekunką zamieszkałeś w jaskini potępieńca. Ale jak dalej? Pewno owym biesem nikt inny nie był, jak tylko ty.

— Właśnie ja miałem to pytanie na myśli, — wtrącił Stolnik, — ale nie tu: przejdźmy się do jadalni, bo już pewno podano do stołu

Jakoż w tej chwili rozwarły się podwoje i służący oznajmił, że obiad gotowy.

Zaraz też podał Stolnik Miecznikowej, a Miecznik Stolnikowej rękę i ruszyli do jadalni. W drodze obejrzał się Miecznik, uśmiechnął się, bo Zygmunt nieśmiało postępował za Celiną.

— Waść mi bardzo zcyganiałeś, — rzekł — no! ale poradzi się temu. Panno Celino, wyręcz twego kawalera i podaj mu rękę!

Celina z uśmiechem niewinnym schwyciła się ramienia Zygmunta i tak weszli do komnaty. Zygmunt zarumieniony i zaambarasowany nie wiedział co począć, gdzie usiąść.

Dało się to jednak wszystko jakoś urządzić i niedługo Zygmunt był tak swobodnym, jakby się w pałacu wychował. Nieszczęściem tylko Celina za blizko niego siedziała a jej czarne ogniste oczy co chwilę go w ambaras wprowadzały.

Po skończonym obiedzie poproszono Zygmunta o dokończenie swej historyi. Zygmunt nie dał się prosić i natychmiast zaczął swe opowiadanie.

— Pierwszej nocy, — mówił Zygmunt, — zamieszkaliśmy z Zingurą w pierwszej grocie. Nazajutrz zacząłem jaskinię lepiej badać, czyby ciasnym otworem nie udało się wejść bardziej do głębi, bo w grocie nie byliśmy bezpieczni. Wszedłem tedy na wierzchołek góry. Tam zobaczyłem kamień leżący tuż pod korzeniami dębu. Naraz przyszła mi myśl odwalić ten kamień: odwaliłem... i jakież było moje zdziwienie, gdym pod kamieniem ujrzał otwór, którym można się było spuścić na dół. Bez namysłu spuściłem się w głąb. Rój nietoperzy trzepał się koło mej głowy, ale ja na to nic nie uważałem, gdyż znalazłem wygodne schronienie, a co najgłówniejsze, bezpieczne. Przeprowadziłem zatem Zingurę do tego miejsca i tu na dobre zamieszkaliśmy.

— A ha! — rzekł Stolnik, — rozumiem teraz, zkąd pochodziły owe podziemne tony. To pewno Waszeci piszczałka ludzi straszyła.

— Nie wiem, — odrzekł zdziwiony Zygmunt, — bom nigdy we dnie nie grywał, ale zawsze w nocy. Z bojaźni, abym nie został odkryty, nie odważyłem się na to.

— Zkądżeś się wziął, kiedy mi koło spadło? — zapytał Miecznik.

— Byłem właśnie przed jaskinią, — odpowiedział, — koło spadając podkulnęło mi się pod nogi.

— Hm! — mruknął Stolnik, — toć to wszystko naturalnie. Pewno ze zabiciem niedźwiedzia tak samo było. Byłeś w gęstwinie, dojrzałeś nas w niebezpieczeństwie, i narażając sam siebie, nas od niechybnej śmierci wybawiłeś.

— Tak było, tak! — potwierdził Zygmunt, — rzeczywiście tak było... Za to chciał mnie ktoś tego samego wieczora zastrzelić. W nocy, kiedy księżyc świecił, wychodziłem zawsze na wierzchołek góry aby popatrzeć na okolicę. Czasami zarzucałem linkę na gałęzie dębu i tak wysoko w powietrzu bujając, przypatrywałem się pięknemu pałacowi, w którym dzisiaj... Owóż tego wieczora tak samo patrzałem na rzęsisto oświecony zamek, gdy w tem strzał padł blizko i kula koło mnie świsnęła. Zląkłem się bardzo, ściągnąłem linę i schowałem się do jamy, zawaliwszy otwór kamieniem.

Stolnik z Miecznikiem spojrzeli na siebie, ale nic nie rzekli.

— Nie dość na tem, — ciągnął dalej Zygmunt, — szukali mnie jeszcze wszędzie. W grocie zapalono pochodnie. Zingura z ciekawości wyjrzała otworem. Ciąg powietrza uderzył na jej piersi... zakaszlała sucho... a ludzie tam się znajdujący strzelili. Szczęściem Zingura prędzej głowę zniżyła, aniżeli padły strzały, dla tego kule utkwiły w ścianie naprzeciw, nie zrobiwszy żadnej szkody... Odtąd już nie wychodziłem, chyba na łowy, gdyż tylko dziczyzną żywiliśmy się... Wtenczas, kiedy to konie... no! wtedy Zingura miała na szczęście znaczny zapas żywności, tak że w chorobie mojej nie umarła z głodu. To cała moja historya, — dodał Zygmunt na zakończenie.

Umilkł... i wszyscy pogrążyli się w milczeniu.

— Gorzkie i srogie życie Waści było dotychczas, — przerwał po chwili Stolnik milczenie, — i zaiste nie życzyłbym go nikomu. Jednak teraz, kiedy się podobało Opatrzności dać Waszeci napowrót rodziców, tytuły i majątek, możesz sobie czas stracony nagrodzić, a my spodziewamy się, że i ojczyzna odzyskała w tobie dobrego obywatela.

— O tem wcale nie wątpię, — wtrącił szybko Miecznik. — Widzieliśmy w nim bohatera, poznaliśmy jego charakter, dla tego nadzieja nasza ziści się na pewno. Ja z mej stro-

ny chętnie mu przekażę ojcowiznę, bo wiem, że ją z honorem utrzyma.

Stolnik popatrzył rzewnie na córkę i... westchnął. Niewiadomo, jakie myśli mu przeszły przez głowę, ale można odgadnąć, że Miecznikowi zazdrościł.

Po chwili dopiero odpowiedział:

— Mnie Pan Bóg nie dozwolił przekazać mego imienia dziecięciu... niechaj więc Turaj połączy się z Jabłowem w jedno wielkie dziedzictwo!..

Na te słowa rzucił się Miecznik Stolnikowi na szyję i obaj starzy uściskali się nawzajem serdecznie.

— Zygmuncie!.. do nóg pana Stolnika! — krzyknął po chwili Miecznik na syna.

Zygmunt też coprędzej wstał, ukląkł i pocałunek złożył na ręce Stolnika, który się zniżył i nawzajem młodzieńca w czoło pocałował. Potem Zygmunt uczynił tak samo przed rodzicami i panią Stolnikową.

— Jeszcze jedno, — rzekł Miecznik, — zapewne i waszmość panie Stolniku będziesz mego zdania. Wesele odkładamy do czasu aż pan Zygmunt pozbędzie się całkowicie skorupy cygańskiej i nauczy się być obywatelem ojczyźnie użytecznym. Niechaj wprzód pokaże się dobrym obywatelem, rządnym gospodarzem, a potem dopiero pokaże nam, jakim będzie mężem.

— Bardzo słusznie, — zauważył Stolnik, — ale... ale możeby panna Celinka tego sobie nie życzyła — dodał wesoło.

Celina zarumieniła się, ale nic nie odpowiedziała.

— Celinka pewnie pójdzie do klasztoru! — rzekła Stolnikowa zwracając się do córki z uśmiechem.

I na to Celina nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła się matce na szyję. Nie wymówiła ani słowa, ale wszyscy odgadli, że w myśli wymówiła: nie!

— A ja proponuję, — dodała Miecznikowa, — aby na tem miejscu, gdzie była jaskinia potępieńca, pobudować kościół na wieczną pamiątkę!

— Zgoda! — zawołali wszyscy razem.

(Koniec).

GAWĘDZIARZ.

KROLOWA SÓW.

(Ciąg dalszy.)

Tylko dla siebie żyjąc, przepędzili teraz młodzi małżonkowie kilka miesięcy w miłem wiejskiem zaciszu, na zadłużonej wiosce Bogusława. Wszakże gniew wuja był nieubłagany, a Bogusław był przez to pozbawiony wszelkiej pomocy, której tak bardzo potrzebował. Dłużnicy najeżdżali go bez przestanku, podniecani przez jego dawniejszych przyjaciół, a nawet krewnych. Musiał więc oddalić służbę, a sam z Urszulą wszędzie dokładał pracowitej ręki. Wkrótce rozniosła się po całym kraju pogłoska o tajemnem ożenieniu hrabiego Bogusława; atoli jego znajomi nie chcieli wierzyć temu, i nikt prócz wuja nie śmiał pytać go się o to. Ten, niespodziewając się nigdy, by jego siostrzan uczynił ten krok nierozważny, który mu sprowadzić mógł wydziedziczenie i przekleństwo wujowskie, szalał prawie ze złości, dowiedziawszy się o tem. Odtąd młody hrabia nie był przyjmowany w żadnych towarzystwach. Żaden przyjaciel nie przybył do niego w odwiedziny. Gdy pojechał po interesach do stolicy lub sąsiednich miasteczek, udawali jego dawniejsi przyjaciele jakby go wcale nie znali. Jego położenie było nieznośnem.

Urszula słodziła mu wprawdzie życie swojem przywiązaniem i miłem usposobieniem umysłu, ale coraz smutniejszą stawała się jego dusza. Do tego dołączyło się jeszcze, iż grad zbił mu zboże, a pożar wszystkie prawie spalił budynki. Był więc zmuszony sprzedać rodzinną swoją wioskę, by uratować przynajmniej cośkolwiek majątku. Lecz wierzyciele zabrali mu wszystko, i tak widział się prawie zmuszony żyć o żebranym chlebie, pomimo swojej pilności i oszczędności swej żony. Często siedział przez godziny w smutnem pogrążony dumaniu. Z słów, które niekiedy wymawiał, poznała Urszula, że żałuje teraz swego nierozsądnego ożenienia. Codziennie powiększały się jego skargi, iż sen i wyobrażenia uczyniły go nieszczęśliwym. Urszula nie mogła znieść tego dłużej.

Wuj oświadczył w jednym liście pisanym do Bogusława, iż nędza ich i nieszczęścia są zasłużoną karą Bożą, i wzywał go, by się rozwiódł z żoną z wiejskiego rodu, która go uwiodła udaną dobrocią. W tym razie popłaci resztę długów jego i da mu kilka z swoich włości.

Wśród pożaru spłonął także kościół i probostwo, a w niem wszystkie papiery i między niemi świadectwo zaślubienia Urszuli z Bogusławem. Proboszcz, który im ślub dawał, przeniósł się był niedawno do wieczności, i poczciwa przełożona umarła także.

Niewinne, kochające serce Urszuli, przeniosło teraz okropną walkę, bo postanowiło rozłączyć się na zawsze z Bogusławem. Potrzebowała tylko powrócić znów do swej przybranej matki, przebrać się po wiejsku i zająć się ciężką pracą wieśniaków.

Pewnego dnia gdy Bogusław smutniejszym był jeszcze niż zwykle, rzekła do niego uprzejmie: „Drogi mężu, nikt nie wie o naszem ożenieniu. Pleban, który nam ślub dawał, nie żyje, jako i przełożona klasztoru, która tylko sama jedna wiedziała o tem; świadectwa ślubne spalone; możesz więc łatwo pogłoskę o tem ogłosić za fałszywą, i rozłączyć się ze mną na zawsze. Ja powrócę znowu w moje strony, do pracy wieśniaczej, ty zaś wróć na wielki świat i wyrwij się z nędzy, w którą cię miłość ku mnie wtrąciła. Bądź więc zdrów na zawsze, niechaj Bóg błogosławi twą przyszłość!"

Bogusław wzruszony był niewymownie spokojnością duszy, z którą Urszula mówiła te słowa. Jej dobrowolne poświęcenie czyniło ją świętą w jego oczach, lecz raz obudzona w nim chęć do zbytkownego życia i uciech wielkiego świata, stłumiła prędko te uczucia w sercu jego. Po niejakiem wachaniu przystał na jej przedstawienia, obiecał wspierać ją podług możności i chciał jej oddać resztę pieniędzy, które jeszcze posiadał. Lecz Urszula odrzuciła je i w milczeniu rozstali się małżonkowie. Urszula zniknęła i nikt nie wiedział co się z nią stało.

Wuj dopomagał teraz we wszystkiem Bogusławowi i wkrótce rozniosła się wieść po całej okolicy, iż ożenienie młodego hrabiego bajką tylko było. Starał się nawet ożenić go z hrabianką Pelagią, lecz temu opierało się sumienie Bogusława. Kilka miesięcy upłynęło spiesznie młodemu hrabiemu, wśród gwaru i uciech wielkiego świata, lecz wkrótce nastąpiły zgryzoty sumienia. Każdy jęk wiatru zdawał się Bogusławowi być bolesnem westchnieniem, wyrwanem z piersi Urszuli. W nocy i we dnie nie miał spokojnej chwili. Widział dopiero teraz, że w Urszuli całe swe utracił szczęście, i że pomimo ubóztwa, bogatym był ją posiadając. Poznał teraz, iż cała wartość człowieka zależy od jego sposobu myślenia; i byłby chętnie wszelkie swe bogactwa i tytuły poświęcił, by tylko odzyskać Urszulę, lecz wszystkie poszukiwania jego były daremne. Wuj naglił go, by się udał w podróż, smutek bowiem jego był mu podejrzany. Opatrzony w znaczne zasiłki pieniężne, Bogusław zwiedził Niemcy, Francyą, Hiszpanią i Włochy, ale nigdzie nie było dla niego spokoju; wszędzie stawał mu przed okiem obraz ukochanej Urszuli. Widział ją w sennych marzeniach to umierającą z głodu, to błagającą w rozpaczy na brzegach rzeki lub jeziora, by położyć koniec swej nędznej doli; okropne sny ciągle nękały duszę jego, obciążoną tak wielkim występkiem. Bezustanne wewnętrzne katusze prowadziły go w wir światowych zabaw. Jego zręczność w władaniu bronią zjednała mu wszędzie głośne imię; niejedną złożył próbę osobistej odwagi i dzielności; ale nawet sława nie była zdolną zatrzymać go dłużej i wracał ku ojczyźnie.

Powrót jego do ojczyzny równał się tryumfalnemu wjazdowi. Znajomi i przyjaciele witali go z zapałem i słuchali ciekawie jego opowiadań o bitwach, w których brał udział. Razu jednego przejeżdżał nocą przez ciemny gęsty las i został napadnięty od zbójców. Po odważnej obronie, został zrzucony z konia, ciężko raniony i zawleczony w głąb lasu, gdy w tem jego prześladowcy zaczęli krzyczeć bojaźliwie i uciekli, zostawując go omdlałego. Późno w nocy powrócił znowu do zmysłów, a leżąc bezwładnie pod wysokim dębem, usłyszał śpiew smętny, kobiecy, który

zdawał się pochodzić z wznoszącego się nad nim drzewa:

„Pośród ciemnej nocy
Sowy przebiegają,
Temu, co w ich mocy,
Spoczynku nie dają.
O biada, biada dla tych osób,
Co za własne winy
Muszą w taki sposób
Spędzać swe godziny".

„Gdzież jestem? Co za dziwne tony odbijają się o me uszy? Odstąpcie odemnie duchy ciemności, nie chcę słuchać waszego tajemniczego głosu", zawołał Bogusław w gorączce, którą mu rany sprowadziły. „Ach, przy mej Urszuli świeciły mi jasno gwiazdki nadziei, wiary i miłości. Przy niej ma dusza tworzyła piękne zamiary ku dobru ludzkości, ku chwale Boga i ludu mojego. Lecz wszystko spełzło na niczem, bo z nią wszystko dla mnie zagasło. W tej ostatniej godzinie poznaję dopiero, jak straszliwą jest śmierć dla tego, którego życie skaziły występki! Twoje łzy oskarzają mnie przed tronem sprawiedliwego Sędziego. Przebacz, przebacz przeniewiercy!

Spiew, który go tak przeraził, oddalał się powoli, nakoniec skonał w oddaleniu. Bogusław otworzył oczy i ujrzał o kilka kroków od siebie jasny ogień, około którego siedziało siedm sów z spuszczonemi głowy. Jego rany były starannie opatrzone, a ręka mała i pulchna ocierała pot z jego czoła. Zebrał wszystkie swe siły, podniósł głowę i spostrzegł wysmukłą dziewczynę, która się szybko skryła po za dębem. Natychmiast poznał w niej widzianą najprzód w owym śnie rozpaczającą niewiastę i zawołał słabym głosem: „Nie opuszczaj mnie Bozki aniele, który rozniecełeś gasnącą iskrę życia mego."

Po tych słowach podniósł się ogromny wicher, deszcz ulewny jął padać i pogrążył rannego w głębokiej ciemności. Okropne huczenie sów mięszało się z wyciem wiatru, który szumiał gwałtownie, zginając ku ziemi niebotyczne drzew wierzchołki.

Bogusław, mając rany dobrze opatrzone, przyszedł o tyle do sił, iż nazajutrz ze świtem był w stanie podnieść się i iść dalej. Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy ukazało się w powietrzu ośm wielkich sów, z których siedm były brunatne a ósma, naprzód lecąca srebrne miała piórka i złoty czubek na głowie. Ta wydała głośne „huhu!" i więcej niż tysiąc rozmaitych sów zleciało się na ten głos. Wszystkie pousiadały na drzewach, ich dowódczyni zaś usiadła na ziemię pod dębem, odskrobała nóżkami i dziobem mech i zniknęła pod ziemią. Za nią zniknęły wszystkie siedm tym samym sposobem. Bogusław zbliżył się by obejrzeć kryjówkę tych cudownych ptaków. Zdawało mu się, iż te sześć sów były te same, które przeszłej nocy widział przy ognisku. Lecz nie było żadnego znaku, tylko wielki kamień leżał pod dębem. W wielkiej ciekawości starał się wszelkiemi siłami odwalić go, lecz jego usiłowania były daremne. Nagle uniósł się kamień sam przez siebie i wielka sowia głowa z długiemi uszami i świecącemi oczyma ukazała się z pod niego, i zarazem dał się słyszeć melodyjny śpiew z towarzyszeniem arfy w tych słowach:

„Pójdź tu do nas mężu śmiały,
Bo gdy cię kule mijały
Strzegła cię królowa sów.
Jeśli czujesz dziękczynienie,
To nam przynieś wybawienie,
Wywdzięczym ci znów".

Bogusław nie namyślał się długo. Po pięknych schodach marmurowych dostał się do obszernego salonu, wybitego czarnym aksamitem i oświeconego bladem światłem lampy. Mnóstwo sów otoczyło go; lecz on ujrzawszy w przyległym pokoju sowę z srebrnemi piórkami, siedzącą na kobiercu złotem przerabianym i wołającą „huhu!" bez ustanku, pospieszył do niej. Schwycił ślicznego ptaka i spostrzegł z podziwieniem, iż wielka szpilka żelazna tkwiła jej w głowie i w oku. Nienamyślając się długo wyciągnął ją gwałtem; biedna sowa zaczęła jęczeć przeraźliwie i uciekła za piec. On pobiegł za nią, lecz już jej tam nie było i wszelkie szukania były daremne. Postanowił pozostać tam do dnia następnego, potrzebując wypoczynku, i usiadł w wielkiem krześle, pokrytem kosztowną materyą, złotem przerabianą; lecz nie mógł zasnąć ani na chwilę, bo sowy robiły zgiełk wielki w przyległym salonie; a myśl, czy go jeszcze jaka nowa osobliwa nie spotka przygoda, niepokoiła go ciągle. Nagle usłyszał na dworze głośny wrzask sów, na który sąsiadki jego donośnie odpowiadały. Ośm dziewic z rozpuszczonemi włosami, z których pierwsza świetną koronę miała na głowie i suknią srebrem wyszywaną, drugie zaś w czarnych jedwabnych były sukniach, wbiegły do pokoju. Ta w najdroższym stroju miała bolące oko i twarz krwią oblaną. Bogusław poznał w niej natychmiast swą wybawczynię, ową rozpaczającą niewiastę w śnie swoim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— To rzecz osobliwsza! — rzekł w duchu Harry. — Co za interes może mieć do sir Williama? Baronet tak rzadko obcych przyjmuje. Zdaje mi się, że z wyjątkiem rektora, jestem pierwszym gościem, którego zaprosił do stołu od lat wielu, i wstęp mój do zamku — dodał z goryczą, — zawdzięczam jedynie usłudze przypadkowej, jaką wyświadczyłem jego siostrzenicy. Gdyby mógł przeczytać w mojem sercu żądze i nadzieje, jakie się w niem wylęgły w przeciągu tych kilkunastu godzin, pycha jego tylkoby wzgardę dla mnie uczuła. Ale nie! — dodał, ustępując szlachetniejszemu popędowi swoich uczuć, — tą myślą uwłaczam zacnemu baronetowi; wyrzucałby mi tylko moje zarozumienie, rozsądnemi uwagami usiłowałby je we mnie przytłumić, pycha bowiem i wyniosłość nie mogą mieszkać w jego szlachetnem sercu; zbyt wiele cierpiał, aby tak niegodne uczucia nim władać miały!...

Tak rozumując młodzieniec, zatrzymał się kilka razy w drodze, chcąc usłyszeć dźwięk dzwonka z budki stróża. Jeżeli ten dziwny przybysz zamierzał rzeczywiście widzieć się z baronetem, nie mógł pojąć Henryk, dla czego dotąd nie wszedł do zamku.

— Wszakże wiatr musiał w inną stronę popędzić odgłos dzwonka, — rzekł do siebie, — jestem jak dziecko, trapiąc się płonnemi myślami.

Usiłując odegnać natrętne marzenia, przyspieszył kroku, aby przybyć do plebanii, układając sobie pójść nazajutrz rano do dworku swego stryja, od którego spodziewał się niejakich objaśnień i szczegółów, dotyczących cudzoziemca, którego ton mowy i ułożenie tak dziwne na umyśle jego sprawiły wrażenie.

Zamiast udać się do budki stróża, podróżny zaledwie stracił z oczu swego przewodnika, pobiegł ścieszką wzdłuż muru okalającego zwierzyniec i szybkim krokiem postępował, aż doszedł do trzech kolumn kamiennych, pozostałych szczątków dawnego opactwa, podpierających mały belweder nieco wysunięty naprzód i sterczący ponad ścieszką.

Ten mały budynek musiał być od dawna w zupełnem zaniedbaniu, o ile wnosić pozwalała jego powierzchowność opustoszała, tudzież mchy i porosty okrywające miejscami mury i połamana okiennica, zwieszona na skrzypiących i zardzewiałych zawiasach, służąc widocznie tylko za igraszkę wiatru, który za najmniejszym powiewem, kołysał nią do woli.

— Oto niezaprzeczenie miejsce umówione, — rzekł przybysz, wpatrując się w okno, — jednak nie widzę jeszcze nikogo... może godzina nie wybiła.

Lekki szelest wśród bluszczu wijącego się wzdłuż okna ostrzegł go, że się ktoś w pawilonie znajduje. Cofnął się o parę kroków, by

lepiej zobaczyć, potem przytłumionym głosem zanucił jakąś piosnkę indyjską.

Po pierwszej zwrotce zatrzymał się; niebawem głos kobiecy odpowiedział drugą zwrotkę.

Zbliżył się wtedy do belwederu; wtem kobieta w białej odzieży pokazała się w oknie.

— Zaro! — odezwał się przybysz.

— Khan! — krzyknęła postać w bieli.

Piastunka Elleny i poufnik Mirana spotkali się tutaj tajemniczo; widać, że musieli tu sobie poprzednio naznaczyć schadzkę.

— Otrzymałaś zakład, który ci posłałem?

— Tak jest; ale gdzież Miran-Hafaz?

— Już jest w Anglii.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz piastunki, znała bowiem nieprzepartą energię syna indyjskiej księżniczki i jego namiętną miłość ku Ellenie.

— Powrócimy znowu do Indyi, — rzekła z radością, — porzucimy ten kraj ponury, gdzie ptaki smutnym śpiewem się odzywają, gdzie kwiaty bledniają od powiewu śmierci.

— Czyż miss de Vere jest nieszczęśliwą w swojej nowej ojczyźnie?

— Nie umiem odpowiedzieć na to zapytanie. Nie pojmuję już mego dziecięcia; usposobienie jej zmieniło się, odkąd stanęła na tej wyspie ciemności; czoło jej zrobiło się pochmurne i zamyślone; uśmiecha się ona jeszcze niekiedy, ale nie jest to już ten uśmiech szczery i swobodny dziecka.

— Sir William jestże dla niej uprzejmym i dobrotliwym?

— O ile nim trup być może; wszystko w tym domu mówi o tem co minęło, o tych co zmarli; jest to siedziba opustoszenia. O jakże to mieszkanie odmiennem jest od tego, jakiebym ja dla niej w Indyi przyozdobić pragnęła!

— Zatem nie trudno ją będzie nakłonić, aby tam powróciła?

— Nie wiem, — odpowiedziała ayah w zamyśleniu. — Dziś rano możebym była twierdząco odpowiedziała, teraz już wątpić zaczynam. Ellena mało nie umarła.

— Czy chorowała?

— Nie; koń ją unosił i życie jej ocalone zostało przez młodego wieśniaka, którego sir Mowbray wezwał do swojego stołu, zamiast go wynagrodzić garścią złota.

— Jak się nazywa ten chłopak?

— Henry Ashton.

— Wielki Boże! — zawołał Khan w angielskim języku, jakże twe drogi cudowne!

— Musimy go sprzątnąć, — rzekła Zara obojętnie, jakby szło o wyrwanie zeschłego krzaku lub zwiędłego chwastu.

— W tym razie nie liczcie wcale na mnie!

— Jeżeli tak jest! — zawołała ayah, — to możesz powiedzieć twojemu panu, żeby się zrzekł wszelkiej nadziei, bo mam przeczucie, że Ellena kocha tego chłopca.

To rzekłszy, odeszła od okna.

Wysłannik Mirana przez kilka chwil zostawał w niepewności, co mu czynić wypadało. Widoczną było rzeczą, że otrzymane dopiero co wiadomości, obaliły wszystkie jego wyrachowania. Dziwnem się to zdawało, że człowiek nawykły do despotyzmu wschodniego, cofał się na myśl usunięcia z drogi swojego pana kogoś, zkim żadne go węzły nie łączyły. Ayah pojąć nie mogła tego wachania. Być może, że on sam zaledwie umiał je sobie wytłumaczyć. Podobne sprzeczności nie rzadko napotkać można w ludziach najnikczemniejszych nawet.

— Pocóżem wrócił do Europy?... — szepnął sam do siebie, wracając drogą, którą przyszedł, — dawne wspomnienia zaczynają się budzić na nowo... Obym był nie spotkał tego młodzieńca!... Gdyby to był kto inny, nie bratanek Macieja Ashton, zadanie łatwem by było... Ale on, niech się nie obawia mej ręki... Za wszystkie skarby Indyi nie chciałbym, aby krew jego na moją głowę spadła!...

Przeszedł spiesznie przez łąkę i skierował się ku wiosce, gdzie czekał nań powóz i konie pocztowe. Zapomniał całkiem, że miał odwiedzić Ashtona. Nie wstępując do żadnego domu, ani myśląc o posileniu się, wsiadł do pojazdu, wołając na pocztyliona:

— Do Londynu!

W kilka minut opactwo Carrow już daleko za sobą zostawił.

Nazajutrz rano, gdy Henryk Ashton przyszedł do folwarku, zaczął wypytywać stryja, czy się nie widział z tajemniczym cudzoziemcem.

— Z jakim cudzoziemcem? — zapytał starzec smutnie, — nie, ty jesteś jedynym obcym gościem, Harry, jakiego dziś widziałem. Słyszeliśmy o twoich walecznych czynach; byłeś na objedzie w zamku, nauczyłeś się o nas za-

pominać; niedługo, domyślam się, będziesz nami pogardzał.

— Pogardzać wami! — zawołał zdziwiony młodzian. — Stryju! co za srogie wyrzekłeś słowo? Ja miałbym pogardzać wami, którym wszystko zawdzięczam? Obchodziłeś się ze mną zawsze jak najlepszy ojciec, i tylko ci tego tytułu nie dostaje... wszak nie znalem nigdy innego ojca, prócz ciebie!

— Ja też to mówiłem mojej starej, — rzekł stryj ściskając dłoń jego, — przekonywałem ją, że nie jesteś dumny, ani też niewdzięczny.

Henryk spiesznie wszedł do izby; wiedział on dobrze, jakim sposobem utorować sobie drogę do serca poczciwej stryjanki.

— Co ci się stało, Harry? — zapytała, gdy jej wychowanek rzucił się na krzesło przed kominem stojące.

— Co mi się stało... oto jestem boleśnie raniony, dotknięty głęboko!

— Któż cię zranił? — zapytała staruszka przelękła, — to koń wczoraj?

— Nie, stryjanko, to nie to, ale zraniły mnie okrutne słowa stryja.

— Czy nie gniewał się na ciebie, Harry?

— Powiedział mi, że wy i on macie mnie za niewdzięcznika, żem się bardzo dla was zmienił... nie jestże to bolesnem dla mnie? Bardzo to boli być fałszywie posądzonym od tych, których kochamy.

— Ach prawda, wielka to prawda, drogi mój Harry! — rzekła rozpłakana matrona. — Ale to Maciej temu winien; zawsze sobie jakieś niedorzeczności nabije do głowy. Być też to może dla tego, że się wieczorami nudzi sam. Ciebie nam brak, Harry, nie ma wtedy nikogo, coby nam dobrej nocy życzył; wiem dobrze, iż to drobnostka, ale takieśmy się do tego przyzwyczaili, że nam przykro bez ciebie.

— I nie odwykajcie więcej od tego, — rzekł młodzian, całując jej pomarszczone czoło. — Natychmiast pójdę przynieść moje książki i rzeczy od rektora. Zawiniłem, żem was zaniedbywał, ale nie posądzajcie mnie o niewdzięczność.

— Niech go Bóg błogosławi! — zawołała sędziwa wieśniaczka za odchodzącym, — wiedziałam ja dobrze, że u niego serce złote. Ale te nieporozumienia, to wszystko z łaski tej greczyzny i łaciny; to nie muszą być chrześciańskie książki; mnie oczy bolą, skoro tylko na nie popatrzę.

VII.

Miran-Hafaz spoczywał w jednym pokoju swojego mieszkania, który słudzy indyjscy, o ile się to zrobić dało, urządzili na sposób wschodnich komnat; stoły i krzesła były całkiem uprzątnięte, a natomiast stosy poduszek poukładano na nizkich stołach. Na jednej z nich, ustawionej prawie w pośrodku pokoju, leżał młodzieniec, ciągnąc woń wybornego tytoniu z cybucha perskiego. Miał na głowie małą czapeczkę haftowaną złotem i jedwabiem, ozdobioną długim kutasem jedwabnym, spływającym mu aż na barki. Długa szata kaszmirowa, jakiejby mu pozazdrościła niejedna elegantka najwybredniejsza, przepasaną była kosztownym szalem; u pasa wisiał amulet dość wielki, dar od matki otrzymany w chwili pożegnania.

Młody Hindustańczyk pełniący służbę koło utrzymania ognia i nakładania cybucha, siedział u nóg jego.

Podczas kiedy dym wonny unosił się w kłębach fantastycznych około wydatnych rysów jego twarzy drobnej, lecz pełnej wyrazu, tysiące wspomnień przeszłości umysł jego zajmowały. Ogród, gdzie się przechadzał z małą jeszcze Elleną, wyrazy, które z ust jej słyszał, uśmiech, który zdobił jej usta i rozpromieniał oblicze, wszystko to przesuwało się w głębi jego serca i rozmarzonej wyobraźni, niby skarby, które skąpiec chciwie przelicza i oko swe niemi pieści.

— Musiała spostrzedz wzmagającą się miłość moją, — mówił sam do siebie, — nie mogła być obojętną na moje namiętne uczucia, na hołdy najszczersze mojego serca. Wszakże ona równie jak i ja, urodziła się w Indyi, w tej krainie słońca i marzeń, kwiatów i nieba zawsze pogodnego. Musi czuć się obecnie w tym kraju ponurym, jak ptaszyna uwięziona, pewnie tęskni za świętym Wschodem!

Po chwili napadły go znowu straszne powątpiewania. Wmawiał w siebie, że o nim zapomniała, że może zachwycił ją wdzięk ojczystej mowy z ust którego z jej ziomków, że we krwi i plemieniu musi być coś sympatycznego, co każdy czuje, choć tego wysłowić nie potrafi.

Nieobecność Khana drażniła go także niewymownie. Już upływał trzeci dzień od jego wyjazdu, a Miran nie otrzymał żadnej wieści o nim. Serce Indyanina szarpane było najróżnorodniejszemi uczuciami.

— Ach, żeby już raz powrócił! — myślał

sobie niejednokrotnie; — jego obecność uśmierzyłaby moją niecierpliwość gorączkową; on jest z małej liczby tych istot, którym ufać mogę... jest mi wierny, czuwał wraz ze mną przy łożu śmierci mojego ojca, uśmiechał się do mnie, kiedym był jeszcze niemowlęciem!

Szelest osobliwszy dał się nagle słyszeć u drzwi komnaty. Oblicze młodzieńca zajaśniało radością, hasło to było mu dobrze znane. Klasnął w ręce kilkakrotnie, według wschodniego zwyczaju, na znak, że wolno wejść.

Rozsunęła się zasłona u wejścia i Khan w swym stroju wschodnim stanął przed Miranem.

— A co? — zawołał niecierpliwie wielbiciel Elleny de Vere, — widziałeś się z Zarą?

Posłannik odpowiedział skinieniem głowy i znacząco spojrzał na młodego chłopca hindustańskiego, siedzącego u stóp Mirana.

Ten dał znak ręką, sługa wyszedł z komnaty.

— Mówże prędzej! — zawołał, gdy sami zostali, — cóż powiedziała ayah? czy Ellena zapomniała o mnie? czy daje mi jaką nadzieję?

— Nadzieja, — odrzekł Khan, — to podpora życia, światłość młodości równie jak i starości; bez niej życie byłoby nocą ciemną.

Miran spojrzał badawczo na swojego mentora; z jego zachowania się i mowy wnosił, że nie najlepsze przywiózł wieści.

— Chcę wiedzieć, choćby co najgorszego,— rzekł do Khana, — serce moje dosyć jest silne, aby wytrzymać najboleśniejsze pociski losu; tylko słabi się użalają, silni cierpią w milczeniu.

— Uchowaj Boże, abym miał tak złych wiadomości być posłannikiem. Zara od swego przyjazdu do Anglii, została dziwaczką; samotność, w jakiej teraz żyje, gorąca żądza powrócenia do rodzinnego kraju, przepełniły jej umysł marzeniami, które bierze za rzeczywistość.

— Cóż więcej masz mi powiedzieć? — szepnął Miran niecierpliwie.

— Zdaje się, że życie Elleny narażone na niebezpieczeństwo podczas konnej przejażdżki, ocalonem zostało odwagą i przytomnością umysłu jakiegoś młodego człowieka, który jest synem czy też bratankiem bogatego kmiecia, trzymającego w dzierżawie jeden z folwarków sir Mowbray'a. Baronet prosił go do zamku. Ellena okazała mu wdzięczność swoją, co ayah chce uważać za uczucie miłości...

Krew uderzyła do twarzy Indyanina, a rysy jego przybrały wyraz tak odmienny od zwykłego spokoju, że przeraziły Khana.

— To jest dzieciuch jeszcze, — dodał, chcąc go uspokoić.

— Ale Zara twierdzi, że Ellena go kocha.

— Dopiero go poznała od dwóch dni.

— Miłość jest to kwiat, który prędko wyrasta, a rzadko jest płodem troskliwej uprawy. Pierwsze listki tej rośliny tak są wątłe, że niebaczne oko nie spostrzeże ich powstania. A skoro się raz zakorzeni, kwitnie tak prędko i zapuszcza korzenie tak głęboko w ziemię, na której wyrósł, że razem z życiem całość nierozdzielną tworzy.

— Ayah może się omylila...

— Ona ma wzrok przenikliwy, instynkt kobiecy i umie czytać w sercu swojej młodej pani, jak uczeni czytają w księdze, nad którą długie lata strawili.

Khan zachował milczenie.

— Powiedz mi nazwisko tego młodzieńca, — mówił dalej Miran.

— Henry Ashton.

— Muszę się z nim widzieć, — rzekł Indyanin, patrząc ponurym wzrokiem przed siebie.

Towarzysz jego zbladł; znał charakter swojego wychowańca, wiedział, że o ile bywał słodkim i łagodnym w obejściu z tymi, których kochał, o tyle znowu okrutnym względem tych, których nienawidził.

— Co chcesz uczynić? — zapytał.

— Chcę go zgnieść, jakbym zgniótł węża, coby mnie ukąsił, — odparł Miran z dumą pogardliwą; — on i ja żyć nie możemy tem samem powietrzem, oddech jego jest dla mnie trucizną, a jego wzrok jest dla mnie spojrzeniem bazyliszka, który wysuszyłby mi serce w piersiach. Znajdują się na świecie osoby tak wstrętne dla siebie nawzajem, że nie mogą żyć jednocześnie!

— Miranie! — zawołał starszy przyjaciel jego z wyrazem trwogi, tem dziwniejszej, że niepojętej dla Indyanina, — pamiętaj o tem, że się znajdujesz w kraju, gdzie prawa zabraniają popełniać gwałtu na osobie najnędzniejszego z jego mieszkańców! Ani książęca godność twej matki, ani twoje ogromne bogactwa nie zasłoniłyby cię przed wyrokiem sądu, gdybyś się odważył podnieść zabójczą dłoń na życie tego człowieka.

Indyanin uśmiechnął się obojętnie; nie raczył nawet odpowiedzieć na tę pogróżkę.

— Czy nie byłoby lepiej, — mówił dalej Khan, — usunąć go z twej drogi?

— Jakim sposobem?

— Zmusić go do opuszczenia Anglii.

Miran zastanawiał się przez kilka chwil, nim odpowiedział:

— Może być, byleby żył daleko od Elleny.

— Gdybym go wyprawił do Indyi?

-- Jestże to w twojej mocy?

— Jest.

— A to jakim sposobem?

— Książę! — przemówił Khan, podnosząc swą wyniosłą postać i mierząc go wzrokiem przenikliwym, — znam cię od lat dziecinnych, posiadałem zaufanie księżniczki, matki twojej, równie jak przyjaźń twojego ojca, i tyś mi ufał dotychczas...

— To prawda.

— Czym cię zawiódł?

— Nigdy!

— A więc spuść się na mnie w tej sprawie. Nie usiłuj nigdy poznać, w jaki sposób postępuję, i jakiemi rozporządzam środkami. Nie mogę ich wyjawić nikomu, nawet tobie. Jest to tajemnica. Zostaw mi tylko dni dziesięć, a jeżeli po upływie tego czasu nie uda mi się wydalić z Anglii przedmiotu twojej płonnej zazdrości, nie będę dalej stawał jak cień złowrogi pomiędzy tobą a twoim zamiarem.

— Niech i tak będzie, — rzekł Miran ozięble, — dotrzymaj przyrzeczenia, a nie będę dochodził sposobów, jakich do tego użyjesz. Lecz jeśli nie potrafisz dokonać, coś przedsięwziął, ja się wtedy zajmę tą sprawą, bo czuję to dobrze, że ta sama kraina nie może mieścić razem kochanka Elleny i mnie!

Po tych wyrazach ognisty i dumny młodzieniec wyszedł z pokoju w chęci przygotowania się do odwiedzin, jakie niedawno obiecał lordowi Yarmouth.

Pozostawszy sam, padł na wezglowia, z których niedawno podniósł się jego młody towarzysz. Zdawał się być dotknięty strasznem nieszczęściem; cisnął dłonią czoło zachmurzone, jakby go ugodził grom niespodzianie.

— O mój Boże! — zawołał wreszcie w rozpaczy, — niezbadane są ścieszki Twojej opatrzności! Choćbyśmy morza i długie lata między sobą a zbrodnią jako tamę położyli, grzech nasz znajdzie nas w końcu znowu. Jeżeli całe życie unikamy jego skutków, w grobie nas jeszcze niepokoi. Biedny, niewinny młodzian! Lepiejby było dla niego, gdyby się spotkał z tygrysem zgłodniałym, niż z tym Indyaninem! Przyrzekłem, że go usunę z drogi. Niebo natchnęło mnie tem postanowieniem. Niebo nastręczy mi sposób spełnienia tej obietnicy.

Kiedy tak pogrążał się w dumaniach, opona zawieszona we drzwiach, rozsunęła się nagle, a młody sługa hindustański, którego Khan poprzednio zastał był przy boku Mirana, pokazał się w progu.

Khan podniósł oczy na niego.

— Miran-Hafaz pragnie cię widzieć, — rzekł chłopczyna, — masz mu towarzyszyć w wycieczce, którą chce zrobić dla przepędzenia wieczora.

Salony w pałacu lorda Yarmouth rzęsiście oświetlone, przepełniał tłum gości; wszystko co było znakomitego w wysokich sferach społeczeństwa londyńskiego, czy to z urodzenia, czy z dostojeństwa, majątku lub geniuszu, wszystko to było zwykle zgromadzone w domu lorda, który sam będąc jedną z tych jednostek bez istotnej wartości osobistej, potrzebował blasku pożyczanego, aby nie zniknąć w swej nicości.

Książę York oparty na ramieniu gospodarza domu, obchodził z nim wytworne komnaty, gdy nagle spotkali się z Miranem i jego nieodstępnym towarzyszem. Młody potomek władzców Indyi rozmawiał o sprawach swojego kraju rodzinnego z jednym z członków gabinetu. Chociaż namiętnie zakochany w Ellenie, uczucie to nie przytłumiło w nim jednak innych zdolności umysłowych, i umiał czuć głęboko gorzkie obelgi, jakie znosili jego rodacy od niesprawiedliwości obcego rządu.

— Kto jest ten Indyanin tak szlachetnej postawy? — zapytał królewicz.

— To syn byłej władczyni Gunloru.

— Słyszałem już o nim; chciej mi go przedstawić.

Na skinienie gospodarza, Miran-Hafaz przystąpił bliżej. Postrzegając, że najznakomitsi i najznaczniejsi goście ustępowali się z uszanowaniem, domyślił się, że ów otyły mężczyzna wspierający się na ramieniu lorda Yarmouth, musi być osobą nie małego znaczenia.

— Któż to taki? — zapytał z cicha swojego poważnego towarzysza.

— Jest to syn księcia rejenta i najbliższy następca tronu, — odpowiedział również cicho.

Gdy gospodarz wymienił księciu nazwisko młodego Indyanina, ten ukłonił się z wdziękiem i z taką przytomnością wyrzekł kilka słów grzeczności i uszanowania, że Jego Królewiczowska Mość był istotnie zachwycony.

— Byłeś pan już u dworu? — zapytał Mirana.

— Jeszcze nie, Dostojny Panie!

— Yarmouth cię przedstawi.

Miran się skłonił.

— I cóż cię najbardziej zajęło w Europie? — mówił dalej następca tronu. — Czy piękność kobiet, swoboda w ich obejściu, tak odmienna od ukrycia, w jakiem żyją na Wschodzie, czy też wolność naszych ustaw krajowych?

— Ani jedno, ani drugie, — odpowiedział Indyanin, — chociaż są to przedmioty godne uwagi i nie mogą ujść niepostrzeżenie, przed wzrokiem cudzoziemca. Lecz co najbardziej podziwiam w Anglii, — dodał z głębokim ukłonem, — to łaskawą uprzejmość Jego Królewiczowskiej Mości.

Królewicz uśmiechnął się na to. Choć od dziecińttwa nawykł słyszeć pochlebstwa, nie był jeszcze przesycony, i zręczny komplement cudzoziemca mile łechtał jego ucho.

— Musimy go mieć w Carlton-House, — rzekł z cicha do lorda Yarmouth. — Jerzy będzie nim zachwycony.

Lord uśmiechnął się widocznie zadowolony.

— Czy bogaty? — zapytał Jego Królewiczowska Wysokość.

— Niezmiernie.

— A czy lubi grać?

— Szalenie. Powiadają, że pułkownik Mowbray zamyśla nań sidła zastawić.

Książę York roześmiał się i poszedł dalej. Korzystne zdanie wyrażone przezeń publicznie o młodym Indyaninie, było dostateczne, aby go w modę wprowadzić; piękne kobiety i intryganci starali się zabrać z nim znajomość jak najrychlej.

Chcąc uniknąć zgiełku, Miran usunął się z pułkownikiem do jednego z mniejszych pokoi przybocznych. Pamiętny rady Khana, postanowił mieć się na baczności, gdy usiędzie do gry z pułkownikiem, i nie dać poznać po sobie, że odkrył oszukaństwo, aż w obecności świadka.

Zwyczajem swoim, Mowbray zaproponował grę.

— Ponieważ ostatnim razem szczęście mi wyłącznie sprzyjało, chciałbym dać panu sposobność, abyś się odegrał.

Tego też właśnie pragnął Miran, i przyjął wezwanie. Wśród grania, ukrywając swą czujność pozorem udanej obojętności, wydało mu się, jakoby pułkownik zręcznie zmieniał kostki. Ale na nieszczęście sami byli w pokoju. Każdy rzut jeden po drugim pomyślnie wypadał dla pułkownika. Wygrana jego miała już w znaczną urość sumę, bo cały stos banknotów i złota leżał obok niego. W tej chwili wszedł lord Yarmouth.

— Szczęście po twojej stronie, Mowbray, — rzekł lord spojrzawszy na pieniądze.

— Sprzyja mi chwilowo, milordzie, — rzekł gracz.

To mówiąc, rzucił kości. Wymówiwszy liczbę, Miran zgarnął je; twarz jego okryła się śmiertelną bladością.

— Czy będziesz łaskaw, milordzie, schować mi te kości? — zapytał Miran lorda Yarmouth.

— Bardzo chętnie.

— Między mną a pułkownikiem zrobiony jest zakład, który dopiero jutro ma być rozstrzygnięty.

To mówiąc, Indyanin wziął pod ramię odkrytego oszusta i oddalił się z nim skłoniwszy się szlachetnemu lordowi.

Ten nie pojmował, co myśleć o zaszłej scenie. Dwaj przeciwnicy wychodząc razem, tak wyglądali zaprzyjaźnieni z sobą, że trudno było domyśleć się, aby o jakie oszukaństwo w grze chodziło.

— Co to znaczy? — szepnął pułkownik do swojego młodego towarzysza, gdy razem przez salon przechodzili.

— To znaczy, żem złapał pana na szalbierstwie.

— Pan chcesz wmówić we mnie, że?

— Ja nic nie wmawiam; utrzymuję, — przerwał Miran, — że pułkownik Mowbray jest szalbierzem, człowiekiem, który uśmiecha się do swych ofiar, nazywa ich swoimi przyjaciołmi, a potem ich okrada... Ale możesz mi być przydatnym, — dodał tonem pogardy. — Pod pewnym warunkiem oszczędzę ci hańby skandalu publicznego.

— Cóż to za warunek? — zapytał Mowbray słabym głosem.

— Dowiesz się jutro rano.

VIII.

Od dnia, w którym Henryk Ashton miał szczęście uratować życie Elleny de Vere, był coraz częstszym gościem w Carrow-Abbey. Pomimo zwykłego sobie usuwania się od ludzi, baronet polubił jego towarzystwo. W pojęciach młodego Ashtona była jakaś świeżość myśli, która zajmowała samotnika; zdawało mu się, jakby odczytywał piękny ustęp zapomnianej prawie przeszłości, lub na nowo marzył snami młodych lat swoich.

Nauki Henryka pobierane u rektora zapoznały go tylko z książkami, z myślami tych, którzy z głębi grobu władają jeszcze umysłami żyjących. Stosunki jego z sir Mowbray'em zapoznawały go z ludźmi, bo z głębi swojego zacisza, pustelnik ten poglądał na społeczeństwo, które porzucił, na literaturę, postępy i zdania swego stulecia. Zajęcia naukowe pozwoliły mu przytłumić niejako doznane cierpienia, nauczyły go znosić życie, które mu niegdyś zapowiadało świetność i użyteczną przyszłość.

Zwolna nowy ten nauczyciel Henryka, odsłaniał mu ponure widma rzeczywistości; bo młodość dostrzega zaledwie niewyraźnie brzydkie jej rysy z po za liścia i kwiecia, w które bujna wyobraźnia, przystraja sobie krajobraz życia. Dopiero kiedy przyjazna ręka odsunie gałęzie, lub kiedy liście opadną, a uschną kwiaty, spostrzegamy widziadło w całej jego złowrogiej szkaradzie.

Te rozmowy rozczarowały umysł i serce młodziana z mnóstwem marzeń zwodniczych, które podobne do tumanów pustyni, odwracają niedoświadczonego wędrowca z prawdziwej drogi życia. Niekiedy jednak wywierały wpływ szkodliwy i bolesny na wszystkie jego uczucia.

— Ludzkość jest całkiem pozioma! — wołał nie raz wychodząc od baroneta.

Lecz może w godzinę później, kiedy przechadzał się z Elleną po ciemnych trawnikach, lub wspaniałych alejach zwierzyńca, odwoływał wtedy to bluźnierstwo, lub też przypuszczał, że chociaż świątynia jest z błota, duch w niej zawarty musi z nieba pochodzić.

Chwila rozczarowania dla wszystkich nadchodzi. Skoro nadejdzie, jedni wpadają w odrętwienie, drudzy zaś w bezwstyd, albo też w zupełne zwątpienie. Błogo człowiekowi, który w takiej chwili żywi jakie silne uczucie, lub namiętność szlachetną, coby go wspierała, coby dodała nowego popędu omdlewającemu sercu, nowej energii upadającemu duchowi, aby go pojednała z tą ludzkością, której tylko czarne spostrzega cienie.

U Henryka miłość była tym środkiem przeciw truciźnie zwątpienia. Wiedział, że jego nadzieja była zarozumiałością, a żądza szaleństwem; ale pomimo to, nie mógł ich odegnać. W jego usposobieniu ognistem, miłość rozwiązała się z szybkością i potęgą rośliny zdrowej, która tylko trochę słońca i powietrza potrzebuje, by dojść do dojrzałości, u młodej sieroty zaś podobną była do wątłego kwiatu, który roztwiera listki swej korony do promieni słonecznych, aby je coprędzej zwinąć za zbliżeniem się chłodu wieczornego.

Henryk czuł niebezpieczeństwo na jakie się naraził; ale jak ptaszyna olśniona, nie mógł oprzeć się urokowi. Niebezpieczeństwo to było jak upajające sny, po użyciu opium, kołyszące wyobraźnie, i nie przestawał oddawać się tej rozkosznej truciźnie, wbrew wszelkiej nadziei i rozumowaniu.

Dziwiono się zaślepieniu wuja, który pozwalał na to poufałe zbliżenie między siostrzenicą swoją, a bratankiem dzierżawcy. Nie zabraniał im używać przechadzki sam na sam i konnych wycieczek, bo pod dozorem swego wybawcy, Ellena zrobiła się amazonką nieustraszoną; masztalerz Marcin tak dobrze ujeździł klacz, że równie powolną była pod ręką Elleny, jak pod jego własną wodzą. Mistress Jarmy potrząsała głową z wyrazem wielkiego niezadowolenia, a piastunka indyjska oburzała się na myśl, że wieśniak ośmiela się podnieść wzrok ku tej istocie, którą w nadmiarze swojego przywiązania, znajdowała godną królewskiej korony. Spostrzeżenia kilkodniowe potwierdziły podejrzenia przenikliwej Indyanki; młoda jej pani już się nie uśmiechała na zarzuty stronniczości względem Henryka...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ŻYCIA ZWIERZĘCEGO.

Ryby wprawdzie nie mają mózgu, wszakże pewne ich czynności i obyczaje świadczą, że posiadają w pewnym stopniu życie duchowe. Pływając zawsze z otwartemi oczami, widzą przedmioty na wodzie i na brzegu się znajdujące, zwietrzą każdą ponętę przy pomocy węchu, a uciekają w razie niezwykłego poruszenia wody. Niektóre budują sobie bardzo sztuczne gniazda z nadzwyczajnym rozumem, co do oboru miejsca, ubezpieczenia a nawet i gustu. Oprócz tego niektóre dają się ułaskawić, na dźwięk dzwonu lub odgłos piszczałki zbiegają się w jedno miejsce, zbliżają do człowieka i biorą pokarm z jego ręki.

Uwagi godnym jest u ryb popęd do wędrówek jaką odbywają z rzek do morza i na odwrót, podobnie jak ptaki przelotne. Pierwszeństwo pod tym względem mają śledzie, tuńczyki i sardele, które niezliczonemi masami udają się w dalekie wędrówki Umią także ryby przebiegle podpływać pod zastawione wędki i sieci, unikać przeszkód, a tem samem chronić się przed niebezpieczeństwem. Całą wędrowną gromadę prowadzi zawsze najsilniejszy i największy mleczak, toruje swym towarzyszom drogę i daje znaki w razie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Ryby morskie w wędrówkach swych do rzek lądu stałego, zatrzymują się długo w ujściach tych rzek, a to w celu przyzwyczajenia się do słodkiej wody. — Głowacze (bullheads) słyną z troskliwości o płód swój. Mianowicie samica składa na dnie wody jaja między kamieniami lub w dołkach przez się wygrzebanych, a samiec strzeże starannie tak jaj, jak wylężonych młodych przez kilka tygodni, i chyba wtedy tylko oddala się od nich, gdy idzie szukać żeru.

Ciekawe są niektóre wypadki z życia szczupaków. W aquarium neapolitańskiem zauważano szczupaka, który okazywał pewną inteligencyę. Mianowicie karmiono tego szczupaka codziennie małemi rybkami. Razu jednego przykryto jednak rybki szybą szklanną. Szczupak kilka krotnie rzucał się na swoją zdobycz, lecz zawsze uderzał się silnie w nos, nie dostawszy rybek. Po kilku dniach oddalono szybę i wpuszczono rybki do aquarium, ale szczupak w przekonaniu, że to rybki tak biją po nosie, nie tylko ich nie gonił, ale sam od nich uciekał. — W Nowym Yorku wykonywał niedawno temu produkcye „uczony" szczupak w skrzyni szklannej, przy oświetleniu elektrycznem i towarzyszeniu muzyki, wywołując u Yankesów niezmierne podziwienie. Sprowadził go tam pewien artysta nadworny John Brown. Reportoar jego zawiera 10 numerów. Nr. 1 „przywitanie publiczności." Ulises, tak się nazywa szczupak, wypływa z ciemnego, bocznego gabinetu na środek basenu, staje pionowo na głowie i obraca się w około do 10 razy. Nr. 5 „skok w świat nieznany." Ulises z rozpędem przeskakuje obręcz nalepioną papierem, którą nad zwierciadłem wody trzymają dwa wielkie raki morskie. Nr. 10 „zakończenie." Przy raźnej muzyce opływa Ulises 10 razy statuy Washingtona i Lincolna wstawione do basenu, składa po dwie chorągiewki o barwach krajowych u nóg każdej statuy, poczem udaje się do swego bocznego gabinetu. — Z przykładów tych poznajemy doskonale, jak pojętne są szczupaki, co każe nam wnioskować, że i pamięć mają doskonałą i zmyślność.

Z pomiędzy zwierząt pełzających, okazują węże pewną drażliwość, niekiedy do wysokiego posuniętą stopnia; sycząc rzucają się na nieprzyjaciela, a jadowite wiedzą o swej potężnej sile, o czem przekonujemy się ztąd, że jeżeli jakieś zwierzę swym jadowitym zębem ukąsiły, oczekują spokojnie na skutek. — Kameleony w gniewie lub przestrachu zmieniają nagle swą barwę, czem przypominają zarumienienie się lub zblednienie człowieka Ropucha daje się łatwo oswajać. Jeden naturalista tyle ułaskawić ją zdołał, iż znajomych od obcych rozróżnić umiała. Żaby posiadają także wielkie przeczucie, przy pomocy którego przepowiadają słotę lub pogodę, i dla tego są prawdziwemi barometrami pomiędzy ludem wiejskim. A co więcej, barometr ten nigdy nie błądzi.

Aż do tego stopnia świata zwierzęcego, nie można było mówić jeszcze o wykształceniu pojedyńczego zwierzęcia. Przejdźmy atoli do świata ptaków, a znajdziemy tam zupełnie inny stosunek duchowy pomiędzy tym wyższym gatunkiem a człowiekiem. — Ptak ma wzrok pełen wyrozumienia, potrafi wewnętrzne czynności duszy, jak i ciekawość, radość, smutek, gniew lub łagodność wyrazić; posiada wykształcony słuch, a przedewszystkiem głos, którym też same uczucia objawić jest w stanie. Rozmaite są te oznaki w głosie ptasim; dla tego wielka panuje różnica między chrapliwym krzykiem ptaka drapieżnego, ćwierkaniem kłótliwej gromadki wróbli, i zachwycającym, to wesołym to melancholijnym śpiewem słowika. Przyczyną zaś tego wyższego duchowego życia i źródłem, z którego ona wypływa, jest mózg, który się ma tak do reszty ciała jak 1 : 20 aż do 200; przeciwnie stosunek ten u ryb jest jak 1:800 aż do 20.000, a u ziemnowodnych jak 1:400 aż do 1.000.

Z licznych odcieni głosu ptaków wnioskując, przychodzimy do przekonania, że mamy przed sobą żywe objawy duszy, która najdziksze wzruszenia, namiętności, jak najdelikatniejszą łagodność wyrazić umie. Jestto mowa, której słów tylko brakuje. Ta zdolność wyrażenia się z swych uczuć, czyni ptaka człowiekowi bardzo sympatycznym i zyskuje zamiłowanie dla pewnego rodzaju. Jednakże i tu znajdujemy różnice i stopnie tych objawów. Napuszenie lub gładzenie piór, trzepotanie, sposób trzymania i poruszanie głowy, łagodne ocieranie dzióbem, wabienie, wszystko to jest dowodem licznych odmian w czynności duszy.